Porwanie Joachima Lelewela

edusens.blogspot.com/2016/04/porwanie-joachima-lelewela.html

W poprzednim poście wspominałam, jak to w roku 1833 czterdziestosiedmioletni Joachim Lelewel, zmuszony opuścić Paryż, osiadł w Brukseli. Uwielbiany w latach dwudziestych wykładowca akademicki wywołujący patriotyczny entuzjazm wśród wileńskich studentów i powstanie wśród warszawskich kadetów, stracił był, zupełnie znienacka, niemal cały swój polityczny urok.

W Brukseli Lelewel żył sobie ponoć biednie i nudno. Z początku próbował jeszcze spiskować, ale z czasem angażował się już tylko w pracę historyczną. Piastując stanowisko profesora na nowo założonym Universite Libre, nie wykładał jednak, a dnie całe spędzał w bibliotekach i archiwach. Otoczenie odbierało go jako "dziwaka, odludka, anachoretę oddzielonego własną wolą i siłą wypadków od ludzi". Jedni biografowie uczonego twierdzą, że sam wybrał nadzwyczaj skromny styl życia odmawiając przyjęcia oferowanych przez Belgów splendorów i zaszczytów, inni przytaczają fakty świadczące o tym, że jednak był rozgoryczony losem, który przypadł mu w udziale.



Skan kartki z archiwum rodziny Lelewelów przedstawiający róg ulic:
Rue du Chêne, Rue de l'Étuve" i fontannę z "Siusiającym chłopcem"
będącą symbolem Brukseli.

Z czasem Lelewel bardzo podupadł na zdrowiu i kiedy wydawało się, że jego dni są już policzone wydarzyło się coś bardzo dziwnego. Coś, przy czym wymyślone spiski i

sensacje w powieściach Dana Browna wydają się nudziarstwem. Historyczne śledztwo dotyczące ostatnich dni Joachima Lelewela przeprowadził i opisał z niezwykłym talentem Ignacy Chrzanowski, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Poniższy tekst pochodzi z I tomu tekstów profesora "Studia i szkice. Rozbiory i krytyki" wydanego w Krakowie w 1939 roku. Przypisy podawałam tuż przy tekście głównym mniejszą czcionką w nawiasach, żeby było łatwiej czytać.
Miłej lektury :)

Tajemnica ostatnich dni Joachima Lelewela w świetle źródeł

Opowieść Januszkiewicza

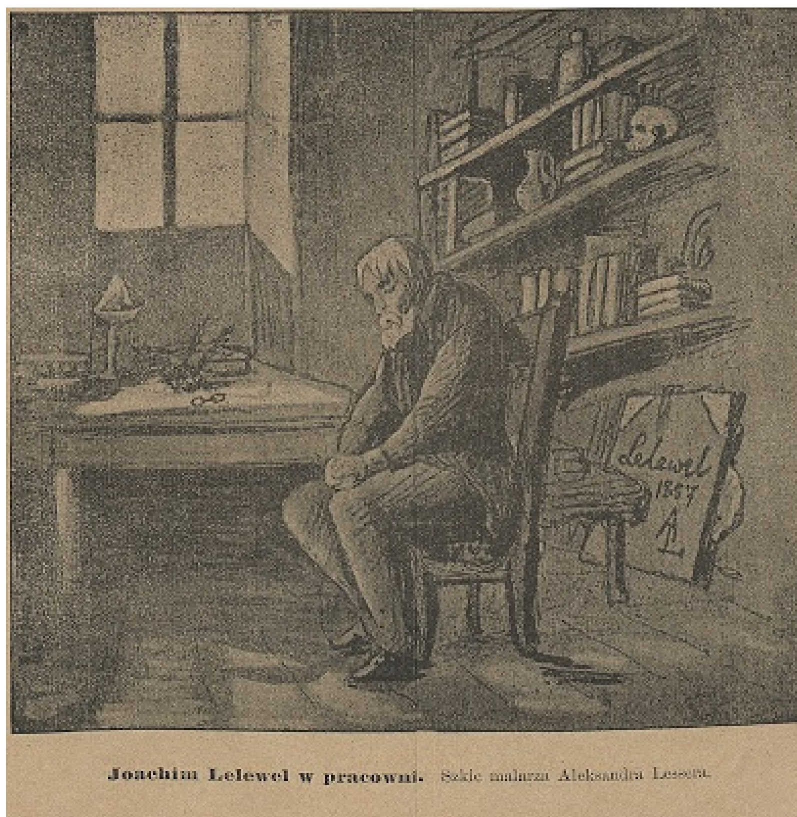
W roku 1861 ukazała się w Poznaniu bezimienna Januszkiewicza, broszura pod tytułem "Ostatnie chwile Joachima Lelewela", która rychło doczekała się jeszcze dwóch wydań (r. 1862 i 1863). Estreicher, a za nim Krzemiński i Korbut przypisywali jej autorstwo jednemu z «wiernych przyjaciół Lelewela», Eustachemu Januszkiewiczowi, ruchliwemu działaczowi emigracyjnemu i właścicielowi księgarni wydawniczej w Paryżu.
[Bibliografia polska XIX stulecia, VI, 312. — Sto lat myśli polskiej, IV, 39. — Literatura polska, wyd. drugie, III, 192.]
Tu jednak potrzebne są pewne zastrzeżenia, oparte na tekście broszury. Januszkiewicz był jej nie autorem, ale jedynie współautorem o tyle, że autorowi «opowiedział» co zaszło; czy zaś autor powtórzył jego opowieść dosłownie, tego nie wiemy. Nie wiemy także, kto był autorem. Czy nie był nim czasem inny «przyjaciel» Lelewela, księgarz brukselski (i poeta) Henryk Merzbach, którego czcionkami i nakładem broszurę wydano?

Ale mniejsza o to: nie ma żadnej podstawy do przypuszczania, żeby autor przeinaczał powieść Januszkiewicza, który (wtrąćmy już tutaj) był, jak się zdaje, nie tylko narratorem, ale także inicjatorem broszury (na równi z trzecim «przyjacielem» Lelewela, lekarzem paryskim Sewerynem Gałęzowskim). Okaże się to niebawem. Tymczasem zapoznajmy się z główną treścią broszury, to znaczy z opowieścią Januszkiewicza o wyjeździe Lelewela z Brukseli do Paryża — na trzy dni przed śmiercią.

Wieczorem 22 maja 1861 r. «obaj zacni przyjaciele Lelewela» (Januszkiewicz i Gałęzowski) «stanęli na jego progu», aby wypełnić «trudny zamiar przewiezienia go do Paryża». Tak mówi autor broszury od siebie, po czym przytacza opowieść Januszkiewicza: «Zastaliśmy Joachima wspartego na łóżku... Obok łóżka, na piecu, od dni kilku stały szczątki ryby morskiej rei i czarka mleka — pożywienie, mogące otruć najzdrowszego człowieka. Przy tym pościel w strasznym zaniedbaniu...» Przywitawszy się z Lelewelem, «który był już mocno ogłuchł», Gałęzowski szepnął do ucha Januszkiewiczowi: «Przyjechaliśmy na pogrzeb, mój kochany, on ledwie parę godzin

pożyje, puls słaby jak u konającego». (Pamiętajmy, że Gałęzowski był lekarzem). Dalej: «Przystąpiwszy do bliższej rewizji, znalazł lekarz ciało na nogach opadające z braku starań, a łokcie, na których ciągle się opierał, odarte aż do kości — pościel cała przesiąkła krwią i materią». Kiedy jednak zaczął mówić o czasach Uniwersytetu Wileńskiego, zaledwie potrącił o drogie choremu wspomnienia, ten, jakby obudzony z omdlenia, odżył, ozdrowiał prawie. Doktór, ująwszy go znowu za puls, rzekł do towarzysza półgłosem: «Cud się stał — siły wracają». Wróciły tak szybko, że chory wstał z pościeli, «przesiąkłej krwią i materią», ubrał się i około godziny szóstej wieczorem poszedł sam do «zacnych przyjaciół», do hotelu na obiad, «jadł smacznie i wypił kilka kieliszków wina, rozmawiał, żartował jak za najlepszych czasów». Do domu wrócił — także sam, o własnych siłach — dopiero o północy.
«Nazajutrz» (tj. 23 maja) «przyjaciele zaprosili go znowu na kawę, którą po dobrze przespanej nocy, jak utrzymywał, z najlepszym zapijał apetytem. Wieczorem znowu obiad jadł smacznie».

Na trzeci dzień (24 maja) doktór Gałęzowski, widząc, że «cud» ozdrowienia Lelewela trwa, zaczął nań nalegać, aby jechał z «przyjaciółmi do Paryża». To pewna — wtrąca autor broszury — że tylko tak serdeczni przyjaciele, jak pp. Januszkiewicz i Gałęzowski, mogli tego dokonać, żeby się Lelewel na to zgodził. Ale uzyskać zgodę było nie tak łatwo. «Pozwólcie mi umrzeć tutaj!», powtarzał Lelewel. «Nie chodzi o to, żeby umierać, ale żeby żyć» — odpowiadali dwaj panowie; — «znajdziesz wśród nas pieczę i ratunek». «Po cóż upierasz się zostać pomiędzy Belgami, o których mawiałeś, że nazwać kogoś Belgiem, to znaczy obelżyć go?» — rzekł jeden z nich żartobliwie. «Stary uśmiechnął się, potrząsł głową, ale nic nie odpowiedział ». Więc «trzeba było — mówi autor broszury za Januszkiewiczem — dopiąć celu zręcznością, podstępem». Oto p. Januszkiewicz, siedząc w izdebce historyka, patrzy po ścianach, gdzie stały książki i, jakby rzecz już była rozstrzygnięta, mówi: «Jakże my to będziemy pakować?» — «Trzeba dział archeologiczny osobno, historyczny osobno, — odpowiada Lelewel — manuskrypta ja sam poskładam razem — to się ułoży w Paryżu.» — «Zaledwie usłyszał te pożądane słowa, wybiegł p. Januszkiewicz i kazał przynieść przygotowane przed dom paki — czym prędzej książki z półek zbierał, wiązał i wyrzucał przez okno ludziom, co je pakowali. Tym sposobem w parę godzin biblioteka była upakowaną do przewiezienia. Lelewel podczas całej tej operacji siedział na łóżku i w milczeniu patrzał na wyrzucane oknem skarby swoje. Skoro nie było książek — i jego łatwo było wyprowadzić. Nie opierał się już wyjazdowi i postanowił pożegnać znajomych... Siadł do pojazdu z p. Gałęzowskim, i udali się z wizytami pożegnalnymi do rozmaitych dygnitarzy belgijskich.» Odbył się obiad pożegnalny... (25 maja?).



Joachim Lelewel w pracowni. Szkic malarza Aleksandra Lessera.

Kiedy przyszła godzina wyjazdu (26 maja), Lelewel «prosił, żeby mu przyprowadzić żonę perukarza, u którego mieszkał, i jego córeczkę, która była jego córką chrzestną. Skoro przyszły, dał gospodyni cztery butelki Bordeaux i sześć funtów świec, które przez oszczędność hurtownie kupował. Nadto dodał 30 franków za popsuty materac. Oddawszy to, kazał jeszcze wyjąć z zapakowanych rzeczy krucyfiks, ofiarowany sobie przez jakiegoś księdza-metodystę, a ucałowawszy dziewczynkę, rzekł matce: «Oto krzyż, który jej daję na pamiątkę, powieś to nad jej łóżkiem, niech on jej strzeże, a ona niech się czasem za mnie pomodli». «Domawiając słów tych, mocno wzruszony, pożegnał matkę i dziecię i, jakby rozwiązał ostatni łączący go z tym kątkiem, z tą nędzą węzeł, ruszył z p. Januszkiewiczem na kolej żelazną, gdzie czekał dr Gałęzowski. Tam, w wagonie, którego cały jeden dział dla niego najęto, siedząc przyjmował pożegnanie rodaków tudzież deputacje uniwersytetów Brukseli, Gandawy, Lowanium i Leodium. Było to 26 maja».

Artykuł Kordaszewskiego

Lecz opowieść Januszkiewicza, którą — dłużej albo krócej — powtarzają późniejsi polscy biografowie Lelewela, nie jest, na szczęście, jedynym źródłem do poznania schyłku jego życia. Są inne jeszcze, bardzo cenne, i to bądź na pewno, bądź prawdopodobnie, wcześniejsze źródła, francuskie, których polscy biografowie nie uwzględniali (czy jedynie przez zapomnienie albo przeoczenie? o tym wolno wątpić).

Najwcześniejszym jest krótki artykuł, który się ukazał w dzienniku paryskim Le National z

dnia 6 czerwca 1861 r., to znaczy w osiem dni po śmierci Lelewela. Autorem jest zamieszkały w Brukseli Kordaszewski, dawny członek Komisji belgijsko-polskiej z r. 1846 i dawny redaktor czasopisma brukselskiego La Presse Liberale Belge. Artykuł ten ma postać listu autora do redaktora dziennika, jest zaś streszczeniem listu, który Kordaszewski wystosował w sam dzień pogrzebu Lelewela (1 czerwca) do jednego z jego najbliższych przyjaciół belgijskich, Delhassego, byłego prezesa wspomnianej komisji.

Otóż Kordaszewski stwierdza, że o wyjeździe Lelewela z Brukseli kursują sprzeczne wiadomości, że dla wszystkich był ten wyjazd aż do ostatniej chwili tajemnicą, Lelewel bowiem nawet wobec najbliższych znajomych milczał o zamiarze opuszczenia Brukseli. Mówi dalej Kordaszewski, że Lelewel, nie chcąc się rozstawać ze swymi książkami, odrzucał wszelką myśl przeniesienia się do Paryża, że jednak w ciągu dwóch ostatnich dni przed wyjazdem ustąpił wobec natarczywych żądań swoich przyjaciół (il a cede anx desirs imperieux de ses amis). Dodaje autor (rzecz niezmiernej wagi!), że przewiezienie Lelewela z Brukseli do Paryża było już dawno uplanowane w Paryżu przez przyjaciół, że mianowicie, kiedy się dowiedzieli o jego nieuleczalnej chorobie, uchwalili, iż «byłoby lepiej widzieć go umierającym w Paryżu i pochować go tam, gdzie spoczywa tylu już jego przyjaciół, aniżeli pozwolić mu się dusić na poddaszu (dans sa mansardę) przy ulicy Eperonniers» (w Brukseli).

[Owocem tej «przyjacielskiej» narady były zapewne pierwsze odwiedziny Gałęzowskiego (w kwietniu 1861 r.), o których Lelewel pisał do swej siostry. Okazuje się, że już wtedy namawiał go Gałęzowski (widząc, iż środki, przepisane przez miejscowego lekarza Uytterhoevena, nie pomagają choremu), «abym się dał wziąć do Paryża, gdzie są wybornie urządzone maisons de santć, gdzie sobie mieszka Antoni Górecki, gdzie Hłuszniewicz, jenerał Wysocki i inni bez wielkiego kosztu, bo tylko kilka franków dziennie płacą wydatku instytutowego, nie licząc własnych przydatków. Wyborna przyjacielska rada, aby się na łaskę cudzą zdać... Ależ w Brukseli nie brakuje leków, lekarzy i do najmu wygód wszelkiego rodzaju i do pilnowania przez nieodstępne gardemalades. Mogę to opędzić wydatkiem nieco mniejszym bez przejażdżek do Paryża». (Listy do rodzeństwa pisane, tom II, Poznań, 1879, str. 481].

Dwa świadectwa Lublinera

A teraz — inne źródło współczesne. Wkrótce, w jakie sześć tygodni po śmierci Lelewela, jeden z wielu jego przyjaciół (ale bez cudzysłowu), «nieoszacowany Ozeasz Lubliner», uczestnik powstania 31 roku, osiadły na emigracji w Brukseli, ogłosił drukiem swoje studium o konfiskatach majątków polskich za cesarza Mikołaja. Na stronicy 80 i 81 do wiadomości o skazaniu dwustu czterdziestu dziewięciu uczestników powstania (a w ich liczbie i Lelewela) na śmierć przez powieszenie dodał Lubliner, wyraźnie już podczas

druku książki, przypisek, dający dużo jeszcze więcej do myślenia niż artykuł Kordaszewskiego. Oto w dosłownym przekładzie — urywki z tego przypisku.

«Dnia 10 maja r. 1861 musiałem wyjechać z Brukseli do Paryża, aby wykończyć tam swoje poszukiwania statystyczne, potrzebne mi do dzieła, które obecnie ogłaszam. W pierwszych dniach po przybyciu do Paryża udałem się do pewnego ziomka, Seweryna Gałęzowskiego, dawnego lekarza-praktyka, który od lat kilku pozostawał z Lelewelem w serdecznych stosunkach. Opowiedziałem p. Gałęzowskiemu o cierpieniach fizycznych naszego czcigodnego ziomka. P. Gałęzowski oznajmił mi, że ma zamiar pojechać do Brukseli. Wtedy zacząłem go prosić, żeby użył całego swego wpływu, by Lelewel zdecydował się przenieść do szpitala św. Jana w tym mieście. P. Gałęzowski obiecał mi, że postąpi zgodnie z moją propozycją; co więcej, wziął ode mnie adresy kilku wybitnych obywateli belgijskich, pragnąłem bowiem, żeby mu oni pomogli do wykonania celu jego podróży. I oto, kiedym bawił jeszcze w Paryżu, p. Gałęzowski w towarzystwie innego Polaka, Januszkiewicza, udał się do Brukseli dnia 23 maja 1861 r.; i ci dwaj panowie, nie bacząc, że Lelewel był już umierający, nie radząc się lekarza belgijskiego, który się nim od kilku miesięcy opiekował, obsiedli chorego, goniącego już resztkami sił fizycznych i umysłowych, tak że po trzech dniach walki i oporu śp. Lelewel, zmordowany wojowaniem (de guerre lasse), pozwolił się uprowadzić (emmener) do Paryża. Dodam jeszcze, że jakem się o tym dowiedział później, już po powrocie do Brukseli, 3 lipca 1861 r., Lelewel w walce z tymi dwoma panami krzyknął z wściekłością: Vous ne rriemenerez a Paris ąue comme un bloc (JAKO BAŁWANA)!!». [Tak wydrukowano w oryginale: kursywa i wielkie litery. Szczegółu tego mógł się Lubliner dowiedzieć od pani Piron, u której Lelewel wynajmował poddasze (ob. niżej)]

O wyrzucaniu książek przez okno Lubliner nie mówi nic; mówi tylko, że owi dwaj panowie, których nazywa wywozicielami (exportateurs), wysłali nasamprzód do Paryża całą bibliotekę Lelewela, składającą się co najmniej z pięciu tysięcy tomów, a 26 maja, wyjeżdżając z Brukseli do Paryża wraz z Lelewelem, wzięli z sobą wielki kufer z jego rękopisami i korespondencją.

O przywiezieniu Lelewela do Paryża dowiedział się Lubliner dopiero rankiem 28 maja, i to przypadkiem; więc «z szybkością błyskawicy pobiegł do szpitala na Faubourg Saint-Denis. Chory był jeszcze przytomny, a na pytanie Lublinera, w jaki sposób sprowadzono go do Paryża, odpowiedział gestykulując rękami: Rien, je ne sais rien, je ne sais rien.

O siódmej godzinie tegoż dnia był strasznie osłabiony, mówił bez związku, a nazajutrz o siódmej rano wyzionął ducha. Żyłby niezawodnie dłużej — kończy Lubliner — gdyby przed przyjazdem swoich wywozicieli pozwolił się był umieścić w miejscowym szpitalu: «byłby uniknął gwałtownych wzruszeń, wywołanych trzydniowymi walkami, zaciekłą opozycją przeciwko zamiarowi zmuszenia go do wyjazdu z Brukseli do ParyZa... in

extremis» (dans U etat extreme ou il se trouvait).

Lecz nie poprzestał jeszcze Lubliner na streszczonym tu przypisku i dodał do swego studium jeden bardzo ważny aneks.
[Note supplćmentaire sur l'exportation de M. Lelewel de Bruxelles, str. 109—110.]

Dowiadujemy się, że kiedy w wigilię śmierci Lelewela Lubliner poszedł do Gałęzowskiego, aby mu wyrazić swój smutek na myśl, że powróciwszy do Brukseli, nie zobaczy już przyjaciela, usłyszał taką odpowiedź: «0! mój Boże, my tutaj także nie długo już będziemy go mieli: LĘKAŁEM SIĘ NAWET, CZY NIE UMRZE W PODRÓŻY.
[Te słowa wydrukował Lubliner wielkimi literami].

Dalej pisze Lubliner: «Na str. 81 powiedziałem: Trzeba było jakiegoś tajemniczego fatalizmu, żeby uprowadzono Lelewela z Belgii — na trzy dni przed śmiercią; chciałem powiedzieć, że jakaś TAJEMNICZA PRZYCZYNA itd., itd.».
[Te słowa wydrukował Lubliner wielkimi literami.]

Jest w tym aneksie inna jeszcze niezmiernie ciekawa wiadomość. Ów kufer z papierami Lelewela umieszczono w tym samym szpitalu, w którym Lelewel umierał. Otóż natychmiast po jego śmierci władze (la justice) kufer opieczętowały; «po ośmiu dniach p. Gałęzowski pod pozorem, że łożył na koszty pogrzebu, otrzymał od prezesa Trybunału Departamentu Sekwany upoważnienie do procedury zdjęcia pieczęci. Dodaje Lubliner: «Honor, delikatność, wreszcie szacunek dla Nieboszczyka powinny były skłonić p. Gałęzowskiego i jego współwywoziciela (co-expor- tateur) Januszkiewicza do zwołania komisji, złożonej z Polaków i do wezwania ich, żeby byli obecni przy zdejmowaniu pieczęci i przy regestrowaniu papierów i rękopisów, pozostałych po Lelewelu. Dalecy od samorzutnego powzięcia tej myśli, ci dwaj tajemniczy wywoziciele odrzucili nawet moją formalną propozycję w tym względzie. Tego wszystkiego chyba wystarczy, aby się zgodzić na to, że w wywiezieniu Lelewela z Brukseli jest coś bardzo podejrzanego. A komu tego jeszcze mało, temu służyć możemy innym źródłem, i to bardzo poważnym.

Świadectwo Le Hardy de Beaulieugo

W półtrzecia miesiąca po śmierci Lelewela ukazała się w Brukseli, z datą 15 września 1861 r., ośmiostronicowa broszura pt. Sześć ostatnich dni Joachima Lelewela. Autorem jest inżynier Eugeniusz Le Hardy de Beaulieu, serdeczny przyjaciel i gorący wielbiciel Lelewela, jako wielkiego uczonego i niepospolitego człowieka. Uwielbienie to bije żywo z całej broszury.

Autor opowiada, że kiedy po kilkomiesięcznej nieobecności powrócił do Brukseli, zaskoczyły go «dwie bolesne wiadomości — o wyjeździe i o śmierci czcigodnego

Joachima Lelewela. «Był to dla mnie wypadek równie nieoczekiwany, jakim byłaby wiadomość, że car przywraca tron polski, że dom Habsburgów zrzeka się tego, co nazywa swoim prawem do Wenecji, albo że papież zrzeka się swojej władzy świeckiej. Nawiązując do artykułu w dzienniku Le National, autor stwierdza, że wyjaśnienia Kordaszewskiego są sprzeczne w sobie i mało pochlebne nie tylko dla przyjaciół Lelewela, ale nawet dla samej Belgii. Mówi dalej, że (jak się dowiedział) kiedy 23 maja rano zjawili się u Lelewela owi dwaj panowie
i kazali mu wręczyć swoje bilety wizytowe, Lelewel krzyknął z przerażeniem: «Oni przychodzą, żeby mnie męczyć; niech sobie ruszają do diabła».
[Wiadomość tę powtarza, powołując się na Beaulieugo (swego teścia), Henryk Merzbach: Joachim Lelewel w Brukseli, Poznań, 1889. Rzecz ta nie przynosi nic nowego dla zajmującej nas sprawy.]

Około południa wciągnęli Lelewela do Hotel de Suede, skąd wrócił do domu późno w nocy. Nazajutrz znowu do nich poszedł. «Podczas jego nieobecności p. Januszkiewicz, przy pomocy kilku robotników i innych ludzi, zaczął pakować całą bibliotekę chorego. Cztery wielkie kufry były już pełne, kiedy, około godziny trzeciej, Lelewel wszedł do pokoju. Widząc, co się dzieje, opadł na krzesło i przeszło godzinę siedział nieruchomy, z twarzą zadumaną i smutną...» «0to jak ustąpił wobec natarczywych żądań (imperieux desirs) swoich przyjaciół, według artykułu w dzienniku Le National». Po czym, ciągnie dalej autor, Gałęzowski wsadził Lelewela do powozu, żeby jechał z wizytami pożegnalnymi... Wrócił Lelewel do domu około jedenastej w nocy. Zanim się położył, weszła pani Piron i zapytała go, czy to prawda, że nazajutrz wyjeżdża do Paryża. «Tak, — odpowiedział — oni mi zmącili łeb (ils m'ont brouille la cervelle), odebrali mi wolność, wzięli mi książki, to teraz mogą sobie robić ze mną, co się im podoba». «Był to aż do północy jeden łańcuch żalów i łkań». (Ce fut un echange de regrets et de sanglots). (O pożegnaniu z panią Piran i z córką chrzestną opowiada Le Hardy de Beaulieu to samo mniej więcej, co Januszkiewicz, z tą jednak różnicą, że nie mówi, jakoby ów krucyfiks, podarowany dziewczynce na pożegnanie, dostał był Lelewel od księdza-metodysty, co, jak zobaczymy, jest wierutnym kłamstwem).

Dowiadujemy się dalej, że nikogo z licznych przyjaciół Lelewela, nawet jego znakomitego lekarza, dra Uytterhoevena, nie zawiadomili ci panowie o zamierzonym wyjeździe; a było przecie ich pierwszym obowiązkiem naradzić się z tym lekarzem. «Pewna dama polska, słusznie zaniepokojona, wyjawiała doktorowi Gałęzowskiemu swoje obawy co do skutków, jakie by tak długa podróż mogła za sobą pociągnąć. «Czv pani nie wie, — odpowiedział gwałtownie — że jestem doktorem?

W tym miejscu pyta autor broszury:
«Jeżeli ci panowie tego tylko pragnęli, żeby chory powrócił do zdrowia, to dlaczego jego

wyjazd miał zostawać w tajemnicy dla wszystkich aż do ostatniej chwili? czemuż to ci panowie, zamiast umierającego człowieka zawozić do Paryża, nie umieścili go w miejscowym szpitalu?

Jak to? człowieka, który życie swoje poświęcił dla niepodległości i szczęścia Polski, który przez lat trzydzieści żył na wygnaniu; męczennika, który przez całe życie wyrzekał się samego siebie, odmawiając sobie nie tylko wszystkich słodyczy życia, ale nawet rzeczy niezbędnych, jako to dobrej strawy, opału, ubrania, a to wszystko, żeby lepiej zachować niepodległość ducha, która była mu tak bardzo droga, i żeby nieść pomoc tym ziomkom, których poczytywał za jeszcze nieszczęśliwszych od siebie...; człowieka, który wyznawał i głosił naukę Chrystusa i czynami swoimi tak się do Niego zbliżył, jak tylko człowiek zbliżyć się może, — takiego człowieka postanawiacie, wbrew jego woli, przewieźć do Paryża, uciekając się do wszelkich środków, byleby się udało, zamykając oczy na to, co poczytujecie już tylko za opór człowieka umierającego! A ja myślałem, że jeśli kto, to wy, którzy się mienicie przyjaciółmi takiego człowieka, powinniście byli uszanować jego wolę... Ten wasz postępek, w tym kraju, wielce przypomina porywanie ludzi przez Kozaków na równinach Rosji: i czy mogło komu przyjść kiedy do głowy, żeby Lelewel, który przez lat trzydzieści umykał szczęśliwie przed wykonaniem ukazu cara Mikołaja, skazującego go na szubienicę, napotkał na wygnaniu ludzi, którzy mieli tak mało serca, żeby móc powziąć takie postanowienie? Chcemy wierzyć, że autor listu do dziennika Le National omylił się, pisząc to tj. że wywiezienie Lelewela z Brukseli było uplanowane już w Paryżu przez jego przyjaciół., chociaż twierdzi, iż wiadomości, podane w jego liście, opierają się na wiadomościach autentycznych i niezbitych.
Przecie Lelewel, pisze dalej Le Hardy de Beaulieu, nie cierpiał Paryża i nie jeździł tam nawet na kongresy naukowe.

(Dodajmy, że nie rozumimy, co znaczy ów pośpiech, z jakim wywieziono bibliotekę, rękopisy i korespondencję chorego; przecie ten prosił gospodarzy, aby mu zarezerwowali jego kwaterę; więc jedno z dwojga: albo chcieli wydrzeć (arracher) z niego zgodę, której niesposób było inaczej uzyskać, albo też myślano, że Belgowie to naród Wandalów i że za bezpieczeństwo biblioteki nie można ręczyć w Brukseli.
Na zakończenie autor wyraża delikatnie (albo raczej ironicznie) życzenie, aby można było wierzyć, że pp. Gałęzowski i Januszkiewicz wszystko uczynili z pobudek chwalebnych, i wyraża nadzieję, że sami będą mogli rozproszyć w duszach przyjaciół belgijskich nieboszczyka to przykre wrażenie, jakie wywarł na nich artykuł w dzienniku Le National.

Krytyka opowieści Januszkiewicza

Wobec tych czterech, bądź streszczonych, bądź przytoczonych źródeł francuskich jak- że się przedstawia wiarogodność opowieści Januszkiewicza, która, mówiąc nawiasem, jest najprawdopodobniej odpowiedzią Kordaszewskiemu, Lublinerowi i Le Hardy de

Beaulieu’mu?

Przede wszystkim — data przyjazdu Gałęzowskiego i Januszkiewicza do Brukseli. Autor broszury z opowieścią Januszkiewicza pisze, i to dwukrotnie, że przyjazd nastąpił 22 maja; dodaje, że «obaj zacni przyjaciele Lelewela stanęli na jego progu» wieczorem; nastąpiła dłuższa rozmowa, podczas której miał nastąpić ów «cud» ozdrowienia; po czym cudotwórcy wyszli, a Lelewel się ubierał. Pytamy: jakim sposobem już o szóstej wieczorem Lelewel mógł przyjść do hotelu na obiad? czyżby nowy cud — cud Jozuego? To też Le Hardy de Beaulieu pisze, że ci panowie zjawili się u Lelewela nie wieczorem, tylko rano (i nie 22, tylko 23 maja). Czy się po rozmowie Lelewela z przyjezdnymi naprawdę stał «cud» ozdrowienia, czy człowiek, od kilku już miesięcy ciężko chory na «spazmy pęcherzowe i «dziwaczenia żołądkowe
[Tak nazywa swoją chorobę Lelewel w liście do siostry z dnia a maja 1861],

naprawdę mógł chodzić sam po ulicy
[W tymże liście pisze Lelewel: «0d Nowego Roku stało się już niepodobnym gdzieś pójść, pod gołym niebem wstydno było ustawicznie na ulicy zatrzymywać się, złe wzrastało i powiększało się. Środki przeciwko temu niedostateczne były, chwyciłem się ostatecznie oleum ricini... Olej powolną przynosił ulgę. Pęcherzowe zło pogorszyło się, przerywało sen i wypoczynek odejmowałoś. Z drugiej jednak strony trzeba, choćby tylko w imię bezstronności, zanotować, że Leopold Sawaszkiewicz (dawny słuchacz wileński Lelewela) pisze: «A la veille de son dćpart pour Paris, ąuatre jours avant sa mort, on a vu ce vćnćra- ble vieillard longer les rues de Bruxelles le baton i la main, et refu- sant tout autre appui de ses amis». (Notice sur la vie de J. Lelewel, Paryż, 1862, str. 25. Toż w broszurze polskiej: Św. p. J. Lelewel, Bruksela, 1861, str. 18—19). Tylko czy Sawaszkiewicz nie dowiedział się o tym od... Januszkiewicza?]

a przy obiedzie wypić «kilka kieliszków wina», niech na to pytanie odpowie lekarz-specjalista. Profanowi przychodzą mimo woli na myśl dwa wiersze rymopisa czasów saskich z poematu o dwóch świętych Józefach:
Chcącemu pisać twe, Józefie, cuda,
Pierwszy cud będzie, kiedy mi się uda.
Zresztą mniejsza o to. I o to mniejsza, że z broszury (pisanej z wyraźnym pośpiechem) trudno wyrozumieć dokładnie, czy owe «wizyty pożegnalne odbywały się 24 czy 25 maja.
[O tych wizytach pożegnalnych wspomina i Le Hardy de Beaulieu: polegałyby one prawdopodobnie tylko na składaniu biletów wizytowych. Por. także Merzbach, jw., str. 61: «Gałęzowski wsadził go do dorożki i towarzyszył mu w pożegnalnych wizytach u przyjaciół. Ale podobno nigdzie nie miał odwagi wejść, tylko do prezesa Komitetu Polskiego Aleksandra Gendebiena». Zamiast «nie miał odwagi)) niechaj wolno będzie czytać: «nie miał sił»]

O wiele ważniejsza i o wiele... gorsza sprawa z owym «obiadem pożegnalnym, a jeszcze gorsza z owymi delegacjami uniwersytetów na dworcu kolejowym; przecie i Kordaszewski i Le Hardy de Beaulieu wyraźnie stwierdzają, że wyjazd Lelewela był «aż do ostatniej chwili pokryty tajemnicą». Tej zaś tajemnicy nie zdradzili z pewnością «wywoziciele», bojąc się... o własną skórę, która byłaby w niebezpieczeństwie, gdyby się wydało, że wywożą z Brukseli umierającego. Skądże się tedy wzięły delegacje nie tylko uniwersytetu miejscowego, ale i uniwersytetów pozamiejscowych? Nie, ten obiad pożegnalny, a cóż dopiero te delegacje, zakrawają na blagę albo raczej, nazywając rzecz po imieniu, na kłamstwo.
Mija się (i to już na pewno) Januszkiewicz z prawdą, kiedy mówi, że naodjezdnym Lelewel podarował swojej córce chrzestnej «krucyfiks ofiarowany sobie kiedyś przez jakiegoś księdza-metodystę». To nieprawda, wiemy bowiem z innego, bardzo wiarogodnego źródła, że ten krucyfiks dostał Lelewel nie od jakiegoś księdza-metodysty, tylko od najprawowierniejszego księdza katolickiego, powszechnie znanego i czczonego (oczywiście nie przez masonów) w całej Belgii. Wolno mniemać, że to kłamstwo popełnił Januszkiewicz zupełnie świadomie i — nie bez pewnego celu, o czym niżej.

Minął się także z prawdą w opowieści o swoim «podstępie». Bo czy podobna wierzyć, aby chytrą, ujętą przezeń w postać pytania («Jakże my to będziemy pakować?») zapowiedź pakowania książek Lelewel przyjął tak spokojnie, że sam dysponował, jak je układaćć, że «siedział na łóżku i w milczeniu patrzał na wyrzucane oknem skarby swoje?» Mówiąc nawiasem, gdyby naprawdę tak było, gdyby Januszkiewicz wyrzucał przez okno skarby Lelewela w jego obecności, byłoby to podłością. Ale prawdopodobnie było inaczej: o wiele bardziej zasługuje na wiarę to, co mówi Le Hardy de Beaulieu, że książki zapakowano w nieobecności Lelewela, że on sam do tego ręki nie przyłożył, a zobaczywszy, co się dzieje, długo jęczał i płakał. Ale teraz — rzecz ze wszystkich najważniejsza i najgorsza. Dlaczego drugi «zacny przyjaciel», Seweryn Gałęzowski, lekarz, nie dotrzymał słowa, danego Lublinerowi? dlaczego nie pozwolił Lelewelowi zostać w Brukseli i nie umieścił go w jednym z miejscowych szpitali? Dlaczego nie naradził się z lekarzem brukselskim, który Lelewela leczył? Dlaczego, jakim prawem moralnym, jakim sumieniem lekarskim wywiózł go z Brukseli do Paryża, chociaż sam się bał, czy chory tę podróż wytrzyma? Czy naprawdę chodziło tylko o to, żeby «uczony dziejopisarz» «mógł znaleźć» w Paryżu i «lekarzy lepszych i troskliwszą pieczę» (jak twierdzi Januszkiewicz)? Ciekawa rzecz, że ani Lubliner, ani Le Hardy de Beaulieu nie umieli (a może nie chcieli, albo... się bali!) rozwikłać tych swoich własnych wątpliwości, stwierdzając tylko, pierwszy wprost, drugi między wierszami, że na dnie tej całej sprawy spoczywa jakaś «tajemnicza przyczyna».

Komplikują zaś tę sprawę dwie jeszcze okoliczności: wiadomość, podana przez Kordaszewskiego, że decyzja o przywiezieniu Lelewela do Paryża zapadła wśród grona przyjaciół w Paryżu, i wiadomość, podana przez Lublinera, że Gałęzowski i Januszkiewicz

zdjęli pieczęcie z kufra z papierami Lelewela sami, nie zwołując, wbrew radzie Lublinera, komisji. Postępek to tym bardziej podejrzany, że Lelewel, już po przy jeździe do Paryża, wyznaczył na egzekutorów swego testamentu Lublinera i Jastrzębskiego .
[Ob. Camille Picque i Eugćne van Bemmel, artykuł o życiu Lelewela w Belgii (Revue Trimestrielle, Bruksela 1863, tom VIII, str. 316—340). Sprawozdanie z tego artykułu ob. w Revue de la Numisma- tiąue Belge, Bruksela 1863, Seria IV, tom I, str. 229. Autor (R. Ch.) pisze: ((...jednego punktu autorowie nie zdołali wyjaśnić lepiej od swych poprzedników, mianowicie tajemniczego uprowadzenia (mystćrieux en- levement) biednego starca i równie tajemniczej jego śmierci]

Cóż to tedy była za «tajemnicza przyczyna? Osiadły w Paryżu po upadku powstania listopadowego prawnik i publicysta Jan Nepomucen Janowski na swoim egzemplarzu trzeciego wydania broszury Ostatnie chwile Joachima Lelewela nakreślił ołówkiem następujące słowa: «Wydawcy niniejszej broszury: pp. Eustachy Januszkiewicz i dr Seweryn Gałęzowski starali» (się) «jakkolwiek ubarwić swój postępek. Im chodziło nie o utrzymanie przy życiu dogorywającego już J. Lelewela, o którego wprzód wcale się nie troszczyli, ale o przywłaszczenie sobie prac jego naukowych, które spodziewali się znaleźć w jego papierach». Lecz domysł to mylny: nie o naukowe prace Lelewela chodziło jego wywozicielom, tylko o pewne jego papiery, z nauką nic wspólnego nie mające, — i o coś innego jeszcze, czego Lubliner i Le Hardy de Beaulieu albo nie wiedzieli, albo, znowu, choć się może domyślali, nie chcieli czy też nie śmieli wyjawić.

List księdza Dechamps do księdza Prusinowskiego

Na inny domysł byłby z pewnością wpadł Janowski, gdyby znał wydrukowaną w Grodzisku mowę księdza Aleksandra Prusinowskiego wygłoszoną 25 czerwca 1861 r. na nabożeństwie żałobnym za duszę Lelewela [Mowa żałobna na nabożeństwie za duszę ś. p. Joachima Lelewela, miana w Poznaniu w kościele archikatedralnym dnia 25 czerwca 1861 przez X. Prusinowskiego, Grodzisk 1861. Przedruk w Mowach pogrzebowych i kazaniach ś. p. Aleksego Prusinowskiego. Poznań 1884, str. 307—318]

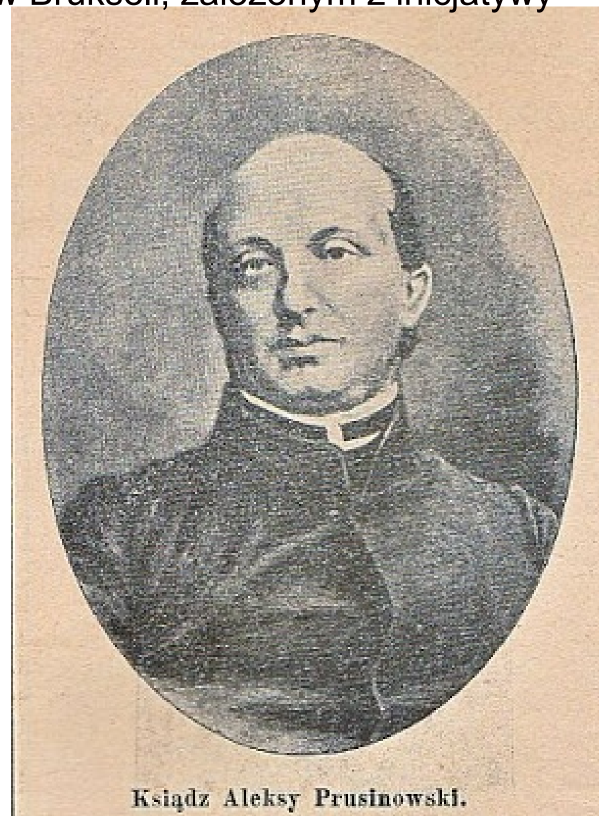
Czytamy tam, między innymi, co następuje: «...Lelewel przez całe życie był dla religii obojętnym, często wręcz jej przeciwnym. Ani się silić będę, bym ten niedostatek i brak jego duszy, brak naukowy pism jego, miał usprawiedliwiać lub uniewinniać. Wytłumaczyć by go można, gdyby tutaj było miejsce, gdyby czas był po temu, gdyby wobec pociechy, którą wam dziś ogłosić już mogę, tego dla Lelewela było potrzeba. Dusza, która do tego stopnia naród polski ukochała, tak żywo czuła wszystko z narodem, nie mogła do końca i dla wiary i dla religii narodu pozostać obojętną. Kiedy upornego w swym ubóstwie dobrowolnym starca przyjaciele na ostatnią drogę z nędznego poddasza (przy) ulicy des

Eperonniers w Brukseli do lekarzy paryskich wywozili, Lelewel, chociaż słaby, bo znużony trudami, wiekiem i ubóstwem, ale jeszcze od wszelkiej niebezpiecznej choroby daleki, prosił w razie śmierci o jałmużnę kościelną, dokumentując przez to swą wiarę w tajemnice święte i hołd oddając Chrystusowej ofierze zadośćuczynienia».


Portret kardynała Wiktora Augusta Izydora Dechamps

Nie wszystkie te słowa są prawdą. Mówiąc, że Lelewel był «jeszcze od wszelkiej niebezpiecznej choroby daleki» (a mowa tutaj o ostatnich dniach jego pobytu w Brukseli), był Prusinowski źle poinformowany. A to, że «Lelewel przez całe życie był dla religii obojętnym, często wręcz jej przeciwnym», jest także nieprawdą, brak bowiem w tych słowach, wyrazu «katolickiej». Bo Lelewel był człowiekiem głęboko religijnym, ale jego religia była po części religią oświecenia, w którego kulturze wzrastał i dojrzał, a po części religią jego własną, wykołysaną nie tylko w głowie, ale i w sercu. Dla religii katolickiej był istotnie «obojętnym, często wręcz przeciwnym», a to jako deista i mason .
[W źródłach do historii masonerii polskiej, które wydał dotychczas Stanisław Małachowski-Lempicki, nazwisko Lelewela nie figuruje. Że jednak już w Wilnie był on członkiem tej samej loży, co Grodek, to jest loży «Cnota Uwieńczona», to wynika z listu Kazimierza Piaseckiego do Franciszka Malewskiego z dnia 19 grudnia r. 1821. (Ob. St. Pigoń, Głosy z przed wieku, Szkice z dziejów procesu filareckiego, Wilno 1924, str. 219). Jest dalej świadectwo (Wincentego Migurskiego), że Lelewel należał do masonerii na emigracji: «Lelewel... związał się z wszelkimi stowarzyszeniami Massonów i Karbonarów, istniejących we Francji, w Rzeszy Niemieckiej i w innych państwach» itd. (Ob. Al. Kraushar, Miscellanea Historyczne LX1. Tragedia życia Wincentego Migurskiego, emisariusza z czasów wyprawy Zaliwskiego, Warszawa, 1916, str. 19—21). Dalszym dowodem przynależności Lelewela do masonerii jest ofiarowanie mu katedry w

masońskim (istniejącym do dziś dnia) uniwersytecie w Brukseli, założonym z inicjatywy «Loży Przyjaciół Filantropów» w celu przeciwdziałania działalności uniwersytetu katolickiego w Malines (przeniesionego następnie do Lowanium). «...Les loges belges ont fonde l'Universite de Bruxelles qui est comme la cita- delłe des doctrines de la Maęonnerie» (N. Deschamps, Les Societes se- cretes et la Societe ou Philosophie de l'Histoire contemporaine, wyd. szóste, tom II, Avignon—Paris, 1882, str. 506). — Tad. Sopoćko (Masoneria belgijska i stulecie Uniwersytetu Brukselskiego, Kurier Poznański 1934, Nr 588) twierdzi, że Lelewel katedry nie przyjął. Jest to wiadomość nieścisła: Lelewel zgodził się na przyjęcie katedry, ale nie wykładał i wkrótce z katedry zrezygnował. Ob. wydawnictwo Universite Librę de Bruxelles pendant 25 ans (1834—1860), Bruxelles 1860, str. 456—7: «Lelewel, professeur de l'Universite Librę a la Faculte de Philpsophie et Lettres, pendant le premier semestre 1834—1835». Ob. także L'Universite de Bruxelles, notice historicfue faite a la demande du Conseil d'Administration par L. Vanderkindere, professeur a la Facultć de Philosophie et Lettres, Bruxelles 1884, str. 177: «Lelewel Joachim, Faculte de Philosophie, professeur ordinaire 26 octobre 1834. Ne a Var- sovie le 21 mars 1789, ancien professeur aux Universites de Wilno et de Varsovie, ancien membre du gouvernement provisoire de Pologne; decede a Paris, le 29 mai 1861. Cours: Histoire et Geographie anciennes (ne fut jamais donne)». Następuje spis (bardzo niezupełny) dzieł francuskich Lelewela. — Tamże str. 28: «Malgrć toutes ces dispositions et le soin apporte au choix du personnel les difficultes ne furent pas śpar- gnees aux organisateurs de l'Universite. Plus d'un professeur figura au programme, mais ne se dćcida jamais a commencer son cours. Ce fut le cas pour M. Theodore Joly qui avait du donner la logique, pour M. Chitti, titulaire du cours d'economie politiąue, pour M. Lelewel, le patriotę polonais, anąuel on avadt assigne l'histoire ancienne et qui des le second semestre fut remplacć par M. Almeyer».]


Ksiądz Aleksy Prusinowski.

Prawdą jest także, że dusza Lelewela, «która do tego stopnia naród polski ukochała, nie mogła do końca i dla wiary i dla religii narodu pozostać obojętna». Bo oto ipsissima uerba Lelewela, których Prusinowski znać jeszcze nie mógł, ogłoszono je bowiem dopiero w roku 1864: «Nie wiem, jaki będzie mój koniec, czy zostanę pokrzepiony pociechami religii, czy ich będę pozbawiony. Ale oświadczam, że, urodzony i wychowany w Kościele rzymskim, byłem i jestem wierny temu Kościołowi — z wolnością mego sumienia». Gdyby

Prusinowski znał te słowa, kto wie, może by zakwestionował wyznanie, że Lelewel był (już dawniej) wierny Kościołowi katolickiemu, i może by wolał, żeby w tym wyznaniu nie było słów «z wolnością mego sumienia»; ale zaświadczyć, że pod sam koniec życia przestał być Lelewel obojętnym dla religii swego narodu, miał Prusinowski prawo, dowiedział się bowiem o tym od księdza - redemptorysty Wiktora Augusta Izydora Dechamps (późniejszego arcybiskupa w Malines i kardynała), do którego pisał z zapytaniem, czy to prawda, co mówiono, że się przed nim Lelewel na wyjezdnym spowiadał.

Oto przekład listownej odpowiedzi księdza Dechamps.
[Oryginał francuski ogłosił Prusinowski we wspomnianej Mowie żałobnej; przedruk w zbiorowym wydaniu jego kazań. Przekład polski -bardzo lichy- listu ukazał się w lwowskim Dzienniku Literackim, 1861, Nr 102.]

«Bruksela, 3 lipca 1861
Panie!
Oto prawda o ostatnich dniach Lelewela spędzonych w Brukseli, które były także ostatnimi czy prawie ostatnimi dniami jego życia na tym świecie. Jego wiek, jego mozoły, jego dobrowolne prywacje, cierpienia z powodu ruptury, — wszystko to osłabiło go strasznie. Pomimo to pracował jeszcze trochę, próbował pisać wedle swego zwyczaju. Jego dusza dumna i niezależna nigdy nie znosiła ani czyjejkolwiek stałej opieki, ani innej pomocy. Lecz pod koniec czuł się tak wycieńczonym, że z bardzo żywą wdzięcznością przyjął i tę opiekę, pod którą pani Daschewisch (nie wiem, czym napisał dobrze jej nazwisko) oddała go innym, i jej własne usługi, płynące z poświęcenia chrześcijańskiego. Byłem obecny przy śmierci męża tej pani, szlachetnego Polaka, którego zrujnowało wygnanie, a który został zrazu oficerem naszej armii, a później, z powodu słabego zdrowia, urzędnikiem w Ministerium Robót Publicznych. Otóż pozostała po nim wdowa opowiadała panu Lelewelowi, jakie stosunki łączyły mnie, jako księdza, z jej mężem w ostatnim roku jego życia, i zapytała go, czyby nie zechciał mnie widzieć. «Bardzo chętnie», odpowiedział. Nie dodał jednak nic, co by zdradziło jego myśl ukrytą, poza słowami, które wypowiedział, biorąc ją za obie ręce: «Wiem, że wszystko, co Pani robi, jest dla mego dobra».

Chcąc postąpić z nim w sposób godny jego charakteru, napisałem do niego wyraźnie, w jakim celu pragnę go widzieć, żeby mianowicie przywołać go z powrotem, przy pomocy Bożej, do wiary chrześcijańskiej, w przypadku gdyby ją stracił, i w krótkich słowach wyjaśniłem mu niewzruszone powody do wiary w Chrystusa i do uznania Jego wielkiego dzieła — jedności katolickiej, która łączy wielką rodzinę ludzką i w której tak słodko człowiekowi umierać. Kończąc list, prosiłem go o dwie rzeczy: żeby codziennie powoli odmawiał Ojcze nasz i Zdrowaś Maria i żeby mnie przyjął, kiedy to uzna za dobre. Przeczytał mój list w obecności pani Daschewisch raz i drugi. Po czym dorzucił: Ja

odmawiam już tę modlitwę. Później dowiedziałem się, że widywano go od czasu do czasu w kościele na Mszy Świętej. Poszedłem tedy do niego w umówionym dniu. Przyjął mnie z wylaniem i odezwał się do mnie w obecności pewnej pani w bardzo podeszłym wieku: «Nie mogę prawie nic czytać i nie mogę już nikomu wyświadczyć przysługi». Byłem bardzo wzruszony; on to zauważył i uścisnął mi rękę. Wtedy ośmieliłem się doń przemówić. Zacząłem od tego, że jeśli nie może już oddawać ludziom usług swymi dziełami, to może oddawać dużo jeszcze większe usługi swymi cierpieniami — i samemu sobie i innym i swej Ojczyźnie: przecie to przez Krzyż zbawił Jezus Chrystus świat. — Widziałem, że mu ta prawda trafiła do serca. Lecz zaledwie mu ją wyjawiłem, kiedy weszli dwaj panowie, jeden przeszło pięćdziesięcioletni, mąż pewnej także tam obecnej starszej pani, drugi — jeszcze młody. Pierwszy miał minę zakłopotaną, drugi, jak mi się wydawało, był trochę zirytowany, a przynajmniej skłonny do zaczepki (aggressif). Ten drugi powiedział coś po polsku do pana Lelewela, który, jak mi się wydało, nie był zbyt zadowolny z ich odwiedzin. Obydwaj pozostali z wyraźnym zamiarem, żeby nie zostawić mnie sam na sam z panem Lelewelem. Musiałem go więc tego dnia opuścić, a nazajutrz dowiedziałem się, że jacyś panowie (czy ci sami, czy inni, tego nie wiem) przyszli nagle, żeby się od gospodarza pana Lelewela dowiedzieć, czy czasem jaki ksiądz do niego nie przychodził».

Powróciwszy do domu, natychmiast po raz drugi napisałem do pana Lelewela, ażeby skończyć to, co chciałem mu powiedzieć o cierpieniu i o Sakramentach, dodając, co trzeba było, żeby go przygotować do spowiedzi.

Pani, o której mówiłem i która pielęgnowała go, jak prawdziwa siostra miłosierdzia, pani Daschewisch, miała przyjść mnie powiadomić, którego dnia pan Lelewel przyjmie mnie po raz drugi. Jakoż przyszła, ale zmieszana i zapłakana, że to dwaj panowie polscy, z których jeden był lekarzem, przyjechali z Paryża, aby skłonić Lelewela do leczenia się w Paryżu. Pan Lelewel sprzeciwiał się temu wyjazdowi ze wszystkich sił (extremement). Pani Daschewisch zapytała lekarza z Paryża, czy nie sądzi, jak lekarz brukselski, że ta podróż zabije pana Lelewela (zważywszy, że jazda koleją przyprawi go o cierpienia i tak już wielkie z powodu męczącej go ruptury). Doktór odpowiedział, że za wszystko bierze na siebie odpowiedzialność. Biedny i wspaniały (sublime) starzec wyraził życzenie pożegnania się z panią Daschewisch. Musieli tedy ci panowie z Paryża zawieźć go do niej i słyszeć, jak w obecności mówił do tej pani, że «ich przywiązanie cło niego jest despotyczne» (que leur charitć ćtait despotiqae).

Porwali go tedy (ils lenleuerent donc), i po dwóch czy trzech co najwyżej dniach pan Lelewel umarł.
Przed wyjazdem zobowiązał panią Daschewisch, żeby mi podziękowała za tę pieczę religijną, jaką nad nim miałem, a na odjezdnym ze swego mieszkania w Brukseli,

odszukawszy krucyfiks, który mu darowałem jako boską treść (le divin resumć) tego wszystkiego, com mu był przypominał (nie wiedziałem, kiedym mu go darowywał, że miał u siebie krucyfiks, który przywiózł z sobą z Polski), wziął go i dał najmłodszemu spośród domowych dzieci, temu mianowicie, którego był ojcem chrzestnym i zobowiązał matkę, żeby mu wyjaśniła wartość tej pamiątki, kiedy dojdzie do wieku, w którym będzie mogło to zrozumieć.

Widzi więc Pan, żem nie spowiadał Lelewela, ponieważ nie miałem czasu dokonać dzieła, które miałem nadzieję, przy pomocy Bożej, szczęśliwie ukończyć. — Nie chcę wydawać sądu o intencjach tych panów polskich z Brukseli i z Paryża. — Może były one dobre, może były tu jedynie pozory uwięzienia. Chcę wierzyć, że tak było, ale nie wiem.

Niech Pan przyjmie itd. Pański Dechamps».

Wyjaśnienie tajemnicy



Fotolitografia A. Pietkiewicza z 1861 roku, Joachim Lelewel na łożu śmierci

Czy trzeba wyjaśniać całą wymowę moralno-religijną piękność przytoczonego listu? Ależ kto tej piękności nie wyczuwa, temu choćby nawet najwymowniejsze wyjaśnienia do jej wyczucia nie pomogą. Więc pytamy tylko: dlaczegóż to dotychczasowi biografowie Lelewela albo o tym liście zupełnie nie wspominają (może zresztą dlatego że go przeoczyli?), albo, chociaż go znają, nie wyzyskują go, jako źródła biograficznego? dlaczego dalej, pisząc o ostatnich dniach Lelewela, idą za Januszkiewiczem i

Merzbachem, milcząc grobowo o tych wątpliwościach, które żywili już współcześni: Kordaszewski, Lubliner i Le Hardy de Beaulieu?

[Stanisław Krzemiński, któremu zawdzięczamy najlepszą, jak dotychczas (chociaż bardzo niewyczerpującą), biografię Lelewela (w tomie IV Stu lat myśli polskiej), wymienia (str. 39) wśród pism o Lelewelu zarówno broszurę Hardy'ego, jak przekład polski listu księdza Dechamps w lwowskim Dzienniku literackim, ale ani artykułu Kordaszewskiego, ani książki Lublinera nie wymienia, a w życiorysie (str. 28) wierzy ślepo Januszkiewiczowi i Merzbachowi; co ciekawsze, że chociaż, wymieniając (str. 39) list ks. Dechamps, dodaje w nawiasie: (wezwanego do dyspon. L-a na śmierć), w życiorysie o tym milczy! Milczą także o tym popularne
biografie Lelewela, np. Felicji Boberskiej (Pisma, Lwów 1903) albo pani Heleny Więckowskiej (Pion, 1936, nr 22): umarł w «szpitalu paryskim, dokąd go tuż przed zgonem przywieźli wierni» (!) przyjaciele*. — Miejmy nadzieję, że Artur Śliwiński w drugim tomie swego cennego dzieła o Lelewelu nie przejdzie nad tym wszystkim do porządku dziennego.]

List księdza Dechamps odpowiada na te wszystkie pytania, wyjaśnia owe «tajemnicze przyczyny», których nie mógł, czy nie chciał, czy też bał się wyjaśnić i Kordaszewski i Lubliner i Le Hardy de Beaulieu.
Jako mason, był Lelewel, mówiąc oględnie, pod opieką i dozorem swoich «braci», a mówiąc mniej oględnie, pod tajną strażą swoich szpiegów i cerberów masońskich.
[Ob. N. Deschamps, Les societes secretes etc. II, 152, 159 i passim. Ob. także Dictionnaire de theologie catholique contenant l'exposć des doctrines et de la theologie catholiąue, leurs preuves et leus histoire, tom VI, część I, Paryż 1924, str. 722 nast.]

Ich zadaniem było przede wszystkim pilnować «braci», przyjętych do loży, czy się czasem nie sprzeniewierzają złożonej przysiędze, że będą nieprzejednanymi przeciwnikami religii katolickiej i Kościoła katolickiego, «tego naszego nieprzejednanego i dziedzicznego wroga»; w ścisłym związku z tą przysięgą było obowiązkiem cerberów nie dopuszczać księdza do łoża umierającego «brata», usuwać z sal sądowych krucyfiksy, których «bracia» cierpieć nie mogą.
[1'eloignement du pretre du lit des moribonds*, Dietionnaire, jw. str. 724. — «W swej nienawiści do Kościoła masoni idą tak daleko, że wymagają od swych członków pisemnego zobowiązania, że nawet w godzinę śmierci nie wezwą księdza, nie przyjmą ostatnich Sakramentów i nie zgodzą się na kościelny pogrzeb. Takie zobowiązanie to jeszcze nie wszystko. Ludzie są słabi, więc umieszcza się jeszcze klauzulę, upoważniającą «przyjaciół» do przeszkodzenia księdzu w dostaniu się do umierającego, nawet wbrew jego rodzinie lub nawet gdyby sam tego zażądał... Znam taki wypadek, gdy na pierwszym piętrze umierał jeden z wyższych wojskowych, dwóch jego «przyjaciół»,

opatrzonych takim cyrografem, wartowało w salonie na parterze, a żona na usilne błaganie chorego musiała do własnego domu, skrycie, kuchennym wejściem wprowadzić księdza* (Sopoćko, jw.). — Ob. także Roger Jean, La librę pensee ou les voleurs de cadavres, Angoulśme 1935: w paragrafie «Statutów» zobowiązują się «wolnomyśliciele» «assister ses membres a leurs derniers moments, les protóger contrę toute pression religieuse du pretre ou de sa familie et leur assurer une mort pai- sible» (!!). — Ob. jeszcze Revue internationale des soció̧tćs secretes Bulletin bi-mensuel de la Ligue anti-judeomaęonnique «Le Franc Ca- tholiąue», Fondateur Mgr. Jouin (Paris, Ligue Franc-Catholiąue), 1936—
(2) (d'enlevement des crucifix et de tout embleme chretien des tribu- naux... est l'application de leur programme» (Dietionnaire jw. 724).]

Nie dosyć na tym. Zobowiązywali się masoni, że gdziekolwiek znajdą potrzebne sobie pisma lub książki, czy to w bibliotekach publicznych, czy w posiadaniu prywatnym, będą je potajemnie i bez żadnych skrupułów kradli (3).
[Les soció̧tes secretes, jw. I, 159.]

Dodajmy jeszcze, że masoni nie mogli nie wiedzieć o instrukcji, wydanej przez Kościół dla spowiedników, a zobowiązującej ich, aby, spowiadając pragnących powrócić na łono Kościoła masonów, żądali od nich, nie tylko żeby wyprzysięgli się przysięg, jakie złożyli, wstępując do loży, ale nadto żeby po spowiedzi oddali spowiednikom książki, rękopisy i oznaki masońskie.
[Dictionaire, jw. 730.]

Teraz wszystko jest jasne. Nie znamy wprawdzie nazwisk owych «dwóch panów», którzy, zastawszy u Lelewela księdza Dechamps, «pozostali z wyraźnym zamiarem», ażeby go sam na sam z Lelewelem nie zostawić: ale że byli to «bracia»-masoni, działający z polecenia masonerii paryskiej, która, jak świadczy Kordaszewski, już dawno postanowiła ściągnąć Lelewela z Brukseli do Paryża, — to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Inni zaś «dwaj panowie», których przyjazd do Brukseli oznajmiła księdzu Dechamps pani Daszkiewiczowa i którzy Lelewela wywieźli do Paryża, to Gałęzowski i Januszkiewicz, także najwyraźniej masoni: bali się nie tylko, żeby Lelewel nie przystąpił przed śmiercią do spowiedzi, ale nadto żeby nie oddał spowiednikowi książek, rękopisów i oznak masońskich; więc zaopiekowali się zarówno swoim «bratem», jak i jego biblioteką, — w jaki sposób, to już wiemy.
[O tym, że Januszkiewicz należał do loży, świadczy brat Joachima Lelewela, Prot w nie ogłoszonych jeszcze drukiem pamiętnikach].

Kordaszewski, Lubliner i Le Hardy de Beaulieu według wszelkiego prawdopodobieństwa także byli «braćmi» i dlatego właśnie nie wyjawili całej prawdy, czy to że nie chcieli kompromitować swoich «braci», mając więcej od nich przyjaźni dla Lelewela i więcej

sumienia i uczciwości, czy że się bali ich zemsty.
Wolno się jeszcze domyślać, że jeśli Lelewel ofiarowany sobie przez księdza Dechamps krucyfiks podarował swej córce chrzestnej, to zrobił to za radą Januszkiewicza, który, pragnąc osłodzić sobie gorzką pigułkę, jaką był dla niego widok katolickiego krucyfiksu, skłamał, że Lelewel dostał go od księdza-metodysty.
Tak czy inaczej, dosyć, że kiedy się czyta opowieść Januszkiewicza o ostatnich chwilach Lelewela i kiedy się ją porówna ze źródłami francuskimi, to przychodzi na pamięć aforyzm Fredry: «Dajesz słowo honoru, to ci wierzę, — ale to nieprawda!» A kiedy się czyta końcowe słowa listu księdza Dechamps: «Nie chcę wydawać sądu o intencjach tych panów polskich z Brukseli i z Paryża... Może były one dobre, może były tu jedynie pozory uwiezienia. Chcę wierzyć, że tak było, ale nie wiem», to czytelnik do «nie wiem» dodaje: «i nie wierzę».